

Nazywam się Barbara Kurzawińska z domu Belke. Urodziłam się w Warszawie 30 listopada

1928 r.

Mieszkałam cały czas z rodzicami. Najpierw do 1933 roku w Warszawie, potem wyprowadziliśmy

się do Legionowa, do własnego domu i tam byłam do końca, to znaczy do wybuchu wojny.

Rodzice... Mój ojciec pracował w Międzynarodowym Towarzystwie Wagonów Sypialnych jako magazynier.

Mama wychowywanie..., zajmowała się dziećmi, nie pracowała nigdzie. No a jeśli chodzi o czas

okupacji, jak tylko Niemcy weszli do Polski, to od razu mojego ojca wezwali tam do siebie,

żeby podpisał volkslistę, ponieważ ma niemieckie nazwisko i ma w rodzinie...,

pochodzi od Niemców czy tam z niemieckiej rodziny. I ojciec powiedział absolutnie nie

podpiszę, bo jest Polakiem i nie zgadza się. A jakie ma dokumenty, że jest Polakiem? No

więc powiedział: "No co? Moi prapradziadkowie brali ślub w kościele katolickim, to wiadomo,

że nie mogli być Niemcami, bo prawda, ewangelicy byli Niemcy". W związku z tym, nie

uwierzyli, za jakiś czas, na razie odstąpili od podpisania, żeby przyniósł te metryki. No,

ojciec postarał się i załatwił w kościele. Dostał te metryki swojego prapradziada

właśnie, że brał w tym kościele świętego Aleksandra i jeszcze w jakimś, nie pamiętam w

tej chwili. W każdym razie dwa kościoły były wydały te metryki, no i od tamtej pory nie

dali mu spokój, ale wpadali do domu i czy już się zastanowił, do rodziców, bo rzucił tę

pracę, zostawił tę pracę w ogóle bez wymówienia nie poszedł i koniec. I ze dwa

razy byli.

Bał się, że go będą szantażować, że może go za to, że nie chce podpisać mogą go jakoś tam

ukarać. W związku z tym zginął na jakiś czas, bo jeździł do swojej siostry, jednej, drugiej

do Warszawy, to do mamusi rodziny. I tak się ukrywał przez pewien czas. Potem już

przestali przyjeżdżać, przestali się interesować. No i dali spokój, i więcej już

nie, do żadnej innej pracy nie poszedł i do końca okupacji nigdzie już nie pracował,

tylko tak się miotał między rodziną a domem, między nami. Tak że tyle. O mamie....

nic więcej poza tym, że ponieważ ojciec nie pracował, precjoza, jakie w domu były,

wszystkie wyprzedala na życie, bo przecież musiała utrzymać troje dzieci. No i chodziła

na wieś do rolników pracować, kartofle, kopać.

O takie rzeczy robić, żeby dostać tam jakiś... Bo gdyby nie to, to w tym późniejszym czasie

na pewno by tego Adasia nie oddała.

Tylko, że nie było niestety co jeść. Kartki były, ja dostawałam co drugi dzień ćwiartkę

chleba na kartki i nic poza tym. Nie było można nigdzie kupić, nawet jeśli się miało

pieniądze. Więc mama jeździła..., chodziła na wieś, tam kupowała zboże, kręciła w jakichś

tam młynkach i piekła takie pagaje, bo to trudno nazwać chlebem, żeby coś było do jedzenia. No i

takie były ciężkie czasy. A jak ja tego Adasia już przeprowadziłam i mama się o nim

dowiedziała, no to mama mówi, że no niestety nie może być u nas, no bo nie, ledwo dla nas

starcza, odprowadź go do getta. A on miał tę nogę skaleczoną. Ale to może powiem oddzielnie

dlatego, że jak ja go spotkałam, jak on do mnie doszedł i co powiedział, to może zacznę

później. No a to było tyle o rodzicach moich. Natomiast ja, to były wakacje, sierpień,

siedziałam sobie, taki lasek był przed domem, niedaleko, bardzo blisko na wprost domu, i coś tam sobie

robiłam. Patrzę, idzie dzieciak mały i strasznie mu noga krwawi. Pytam się: "Co ci się

stało?" - "A nadepnął na butelkę stłuczoną i skaleczyłem".

I usiadł koło mnie. Ja patrzę noga zapiaszczona, bo na bosaka, krew mu się tam

toczy. Poleciałam do domu, przyniosłam jakieś opatrunki, zrobiłam mu tam, obmyłam tę ranę,

no i wzięłam go na barana. A jeszcze właśnie mówię: "A teraz zaprowadzę cię do domu". A on

mówi: "Nie mam domu, bo ja przyszedłem z getta". No więc jak usłyszałam, że z getta, a już

zdawałam sobie sprawę co to jest, bo wcześniej miałam przykłady co robili z

rodzinami, które przechowywały Żydów.

No więc trudno, mówię,

biorę go do domu. Wzięłam go na barana, bo on tę nogę miał w powietrzu, skaleczoną, i tak go

na barana przytachałam do domu, wejściem takim, którym bardzo rzadko kto

chodził, bo od tyłu domu były schody na górę. Tam na strychu wymościłam mu taki kojec.

Przyniosła mu nocnik, żeby go..., bo tam nie było skanalizować na górze, bo tam jeszcze dom był

niezupełnie wykończony jak wojna wybuchła. No i chodziłam tam do niego i mu tam donosiłam co tam..., po

kryjomu, bo mama też nie wiedziała, że on tam jest, a w lecie nikt z tego strychu nie

korzystał, bo w zimie się tylko suszyło bieliznę po praniu na górze, a tak to nie

było po co tam wchodzić. No i tak sobie tydzień przeleżał sam tam w tym... Od czasu do

czasu wpadałam tylko jak jak mama poszła do sklepu, jak ojca nie było, bo był u cioci w

Warszawie, no to wtedy wpadałam do niego i tam mu przynosiłam jedzenie i picie i wносиłam

te nocniki po nim. No i pewnego razu była u nas..., ponieważ to była trasa Warszawa-Gdańsk,

bardzo taka potrzebna w tym czasie Niemcom, bo przecież te wojsko woziło bez przerwy tę

amunicję, te armaty na tych odkrytych lawetach, tych towarowych wagonach, więc powstańcy, nie

powstańcy, akowcy postanowili rozkręcić te szyny na tej trasie Warszawa-Modlin chyba, no

i i wysadzili te pociągi, wyskoczyły z tych szyn. W związku z tym zrobili taką obławę na

mężczyzn w tej okolicy, m.in. u nas tam, że nawet czternastoletni chłopak, mój kolega, który

chodził ze mną do szkoły, ale był taki rosły chłopczyk i taki zbudowany, więc też...

Wszystkich ustawili tam daleko na..., Nikłowa się ta ulica nazywała, to dość daleko od nas, i

tam ich rozstrzelali, a część, którzy nie wiem po czym, czym się kierowali, dzieląc

jednych na rozstrzał, innych wzięli... Do końca nie wiem, czy do obozu, czy do jakiejś

wywózki do Niemiec, bo też dużo wywieźli z tamtych stron do Prus Wschodnich. No i jak,

jak tego, jak dowiedzieli się okoliczni mieszkańcy, że te tory to mogą jeszcze raz

rozkręcić, więc wybudowali, wykopali w lesie taką transzeję, trudno to nazwać schronem, ale

taka dość głęboka, i las był bardzo gęsty i przykryły to dużymi, wielkimi gałęziami, i

tam w razie nalotu czy jak będą Niemcy wyciągać z domu to żeby była taka skrytka.

I wtedy właśnie był nalot w nocy. Ponieważ w Legionowie te koszary, stało tam bardzo dużo

żandarmerii niemieckiej, więc już widocznie mieli cynk, bo te samoloty były albo

angielskie albo rosyjskie, ale trudno określić jakie. Ale zrobili taką taką sieć

żyrandoli w powietrzu, że to jest trzy kilometry od nas, od naszego domu do koszar

tam, i było widno na podwórku jak w biały dzień, tak oświetlił ten ten obszar. No i

wtedy wszyscy ci sąsiedzi, którzy współdziałali przy tym..., budowie tego schronu,

poszli tam się schować. Moi rodzice też. No i ja musiałam też z nimi iść. I cały czas

myślałam, że ten Adaś siedzi tam na strychu i też nie śpi, no bo tak widno się zrobiło i

taki szum, zamieszanie słychać. W związku z tym za chwilę słyszę jakaś kobieta mówi: "Jak

tu śmierdzi, co tu tak śmierdzi?". A ciemnicy w tym lesie straszna. Nikt nikogo nie widział.

No ja sobie myślę no to na pewno Adaś śmierdzi. Może se krwawił tę nogę jak

zszedł i może ta krew tak śmierdzi. No ale ucichło, przestali rozmawiać, ja cały czas

drżałam i o te bomby, żeby na nas nie spadły, i żeby jemu się tam coś nie stało, bo

myślałam, że on, a może to on jeszcze tam siedzi na tym strychu. W końcu skończył się

ten nalot.

Ucichło, zgasły te żyrandole i wszyscy się zaczęli rozchodzić. No i mama mnie za rękę i

do domu. A ja wiem, że pewnie ten Adaś jest tam, w tym schronie,

tak coś czułam, bo śmierdziało. Rzeczywiście jakaś zepsuta krew. No i mówię mamie, wzięłam

mamę tam po cichutku na bok i mówię, że ja tu mam chłopczyka małego, który stoi, jest w

schronie i ja go cały czas mam na górze i teraz go też muszę zaprowadzić. A mama mówi: "A

skąd ten chłopczyk? Czyj ten chłopczyk?". Ja mówię: "Żyd"? No to mama się złapała za głowę.

Mieliśmy nieciekawych sąsiadów, bo z jednej strony był volksdojcz, który podpisał listę

i wyjechał później, później po tym wysiedlili go do Niemiec.

Na następnej ulicy dość blisko mieszkali państwo Sommerowie, też nazwisko podejrzane,

jego nie było w ogóle widać, tylko ona z córkami, a on przepadł, jak się wojna

zaczęła. Więc też domysły były, może niesłuszne, ale były. Tak że myśmy się

strasznie bali tych sąsiadów w razie..., no to cała rodzina ginie, prawda?

W związku z tym mama wzięła mnie na boczek i mówi: "Wiesz co,

nikt nie ma prawa wiedzieć o nim...", bo powiedziałam, że Adaś, "...o Adasiu, tylko my i

dziś jeszcze go zaprowadź, a ja pomyślę co dalej". I nikt, nawet mój ojciec nie

dowiedział się, że tam był ten Adaś na strychu, bo by się mama bała, że a nóż

będzie z kimś rozmawiał i się wygada. Siostra i brat to byli też..., nikt nie wiedział.

No i sąsiedzi też nie wiedzieli. Myśmy z mamą tylko wiedziały, ale moja mama pomyślała o

takiej pani, która chodziła za Bug na szmugiel. Przechodziła granicę w takim..., bo opowiadała

mamie, w takim momencie, kiedy tam ta wacha się zmieniała na na tej granicy zielonej, bo

za Bugiem byli Rosjanie, no i ona przywoziła tam jakieś towary i wymieniała. Stąd mama ją

poznała, coś tam od niej brała. I w związku z tym mama mama zaproponowała jej, czy by nie

wzięła tam na wieś takiego małego chłopczyka. Jego rodzice zginęli w czasie bombardowania

Warszawy i ja, mówi ja nie mogę go..., znajomi, ja nie mogę go wziąć do siebie, mówi, bo mam

troje dzieci. Wie pani, mąż nie pracuje, ledwo, ledwo żyjemy. No a to jest jednak

odpowiedzialność, bo trzeba dzieciaka i ubrać, i do szkoły posłać, i nakarmić. No i ta pani

mówi: "Wezmę go. Duży?". Mama mówi: " Nie, malutki siedem lat ma". ma.

"No to wezmę go". No i mama go tam trochę przychodziła lepiej i ona go zabrała. Jak

wróciła z tej... Mama mówi tylko: "Bardzo panią proszę, jak pani wróci z zagranicy, to pani

do nas przyjdzie i pani mi opowie, jak, czy on tam, będzie miał dobrze". No i ona wróciła i

powiedziała: "Bardzo dobrze. Trafił do dobrego gospodarza, będzie pasł krowy i on chętnie

został. Także chyba będzie miał dobrze". No i potem jeszcze ona chodziła, to mama też ją

pytała, mówi: "Bardzo dobrze się ma, dobrze wygląda i w ogóle bardzo zadowolony, że

pozbył się tamtych, tych kłopotów, żebrania i chodzenia po ludziach". No i od tamtej pory

był już, potem było powstanie,

no więc mama już nie wiem, czy ona mieszkała w Legionowie, ja ani jej nazwiska nie znałam.

Mama mówiła na nią "handlarka", "ta handlarka", no bo ona handlowała tam nie wiem czym nawet. No więc

nie znałam, nie wiedziałam, gdzie mieszka ona i do jakiej wsi ten chłopak trafił, jak ta

wieś się nazywała, w której on tam został? Nic z tego nie wiedziałam. I potem ucichło. I

kiedy pracowałam w ministerstwie i miałam kiedyś dyżur i przyszła do nas na dyżur z

innego wydziału pani, i tak żeśmy sobie siedziały i czekały na polecenie, i ona...,

zaczęłyśmy tam sobie opowiadać o swoich perypetiach kobiecych i ona mówi: "A ja na studiach

zapoznałam Żyda i wyszłam za niego za mąż...",

a ona studiowała prawo na Uniwersytecie Warszawskim, "... i wyszłam za niego za mąż". No i

ja mówię, a tak mi to jakoś tknęło, żeby zapytać: "A jak on przeżył w Warszawie? Przecież getto

było tak zniszczone". Dokładnie. I okolice Warszawy tak samo, bo było getto przecież nie

tylko w Legionowie. A ona mówi: "On przeżył dzięki takiej dziewczynce, która dała go

jakiejś handlarce, handlaraka go zaprowadziła, przeprowadziła przez Bug i

zostawiła go na wsi, i pasł krowy. Ten jej..., ona o swoim mężu tak mówi. No ja jak to

usłyszałam, no to wypisz wymaluj do mnie pasowało. Tylko nie powiedziała "Basi", bo żeby

powiedziała "Basi", to ja bym się od razu przyznała, ale "jakaś dziewczynka i w okolicy

Warszawy", nie powiedziała, że "w Legionowie", nic na ten temat, tylko że w okolicach Warszawy

była taka dziewczynka i tamtego. No i ja to tak pamiętałam dość długo. Nikomu o tym nie

mówiłam, ani nawet..., szkoda, bo mamie gdybym powiedziała, to by już później mama coś

wiedziała, bo w 70. latach przyjechałam do mamy, a mama mówi: "Wiesz co, był tu u nas, jaki...,

było u nas jakieś małżeństwo. Kobieta bardzo ładna, przystojna, ładnie ubrana, i mężczyzna,

i pytali o Basię, a nie o nazwisko, tylko o Basię. No więc ja mówię: "I co mamusia

powiedziała?" - "A powiedziałam jej, że nie wiedziałam, czy ja mogę dać im kto oni są i

oni się nie przedstawili. Ja ich się nie pytałam, więc bałam się powiedzieć twój

adres. Może jacyś sobie nie życzysz, żeby wiedzieli, gdzie mieszkasz?". No i od tamtej

pory ja sobie tak tak myślałam:

"Kto to mógł być? Przecież znajomi moi to i moje nazwisko znają. Zapytali by się

o nazwisko. Może nie z męża, ale panięskie, prawda, ale nic z tych rzeczy". No więc, w

związku z tym przestałam myśleć i tak się skończyło.

I potem ta Teresa, właśnie ta żona tego Siwka powiedziała, to i ja jeszcze sobie to wzięłam

do serca, żeby jakoś jej powiedzieć, ale się więcej z nią nie spotkałam. To był raz na tym

dłużurze. Tam byliśmy parę godzin razem i więcej się z nią nie spotkałam, bo by może

jeszcze ją coś pytała na ten temat, ale tak minęło.

Nie mówiłam o tym. Mąż wiedział mój. Powiedziałam mu, a on powiedział: "Wiesz jakie

teraz są czasy. Nic jemu nic nie pomożesz, a to co się dowiesz robiłaś to nie dla sławy,



nie dla pieniędzy, tylko z serca. No więc stało się i minęło. I dobrze. I zapomnij o tym".

I dlatego tak siedziałam cicho tyle lat. To by było, jeżeli chodzi o, o tym.

Natomiast o Powstaniu. Jeżeli przyjechałam do Warszawy, mama mnie wyekspediowała do mojego

stryjka, bo był moim chrzestnym, były jego imieniny, narwała pięknych róż i mówi od całej

rodziny złożyć mu życzenia i przyjeżdż. No i dobrze. Ja pojechałam tam. Jak mówiłam, już

byłam u nich troszkę, ale nie miałam tam co robić. Poszłam do tej drugiej cioci, i tamten

Dworzec Gdański, i na drugi dzień Powstanie. No i tak.

Także już, już do Legionowa się nie dostałam.

Potem w Powstaniu, no to jak zwykle, jak wszyscy, siedziałam w tym schronie, głód. Powstańcy jak

tam przywieźli wody czasami, pić. O myciu to w ogóle nie było mowy, żeby się umyć, tylko

żeby się napić czy coś ugotować.

Gotować też nie wolno było, bo w tych starych domach przecież nie było gazu, tylko węglem

paliliśmy, a nie pozwolili powstańcy. Była barykada zaraz niedaleko na placu Kazimierza,

i nie pozwolili nam palić żadnych ognisk na podwórku, bo dym zwodził tam i oni czuwali,

gdzie są ludzie, bo niektóre kamienice już były puste i żeśmy nawet się bali gotować

w nocy. Przywozili powstańcy nam to, co oni mieli swojego i to to był taki rarytas, że

nie wiem. I raz rozbili te ich magazyny niemieckie.

Na Chłodnej był Haberbusch i Shiele i tam były bardzo duże magazyny żywności mieli. Jak

tam tych Niemców pogonili, to w okolicy tym mieszkańcom, którzy tam siedzieli jak te szczury

w schronach porozwozili trochę jedzenia. No i tym sposobem tam jakoś przetrwaliśmy. Ale chleb,

suchary, bo innego chleba nie było. Woda tylko tyle, o ile nie było tak ile by

człowiek wypił, tylko troszeczkę, żeby dla wszystkich starczyło. No, takie ciężkie czasy.

Potem, jak podpisali już tamten upadek, jak nas zabierali z Warszawy, to chodzili Niemcy,

nie wiem, czy we wszystkich dzielnicach, ale u nas. Takie mieli, to wyglądało jak

karabiny, i z tego szedł ogień straszny, nie wiem jak to się nazywa [miotacze ognia]. I tak po, po

wszystkich gdzie jeszcze ocalały jakieś te domy nie zburzone, to tak chodzili i tak

zapalali w piwnicy, od piwnic, a to potem szło w górę. Tak, że to widziałam. No i potem pognali

nas jak te bydło na dworzec Zachodni i tam żeśmy na tym zachodnim, też cały czas z

karabinami przy nas, żeby nikt na boki nie uciekł. Powiedzieli zresztą, że kto usiłuje

wyść z tego, z tego, tego tłumu, to strzelają.

No i z tego pojechaliśmy chyba do Pruszkowa.

Nie wiem, czy to był Ursus, czy to był Pruszków [raczej Ursus]. No to jechaliśmy w tym, w bydłowym

wagonie, nic nie widać. A tam też przeszliśmy wieczorem jakimś tam kanałem, do tego, do tego

budynku. W budynku

tłok straszny. Przyszli jeszcze, ogłosili przez ten, przez megafon, że proszeni są...,

przyszedł transport z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dla wysiedlonych z Warszawy,

transport żywności, i trzeba rozładować wagon. Którzy mężczyźni są na siłach, to żeby

przyszli. I oczywiście ci mężczyźni już nie wrócili, ani my żadnego... Tym sposobem

wyciągnęli z tego tłumu, tych, tych zdolnych, no bo każdy chciał przecież to jedzenie

zdobyć po tym naszym chłodzeniu. No i już więcej nie wrócili. Między innymi mój wujek i

ja zostałam tylko z ciotką, bo on też poszedł tam do tego rozładowania rzekomo i już nie

wrócił. No i ten Czerwony Krzyż...

raz jeden byli u nas, tam chodziły te siostry z tymi opaskami Czerwony Krzyż i tylko

dzieciom dawali po puszcze skondensowanego mleka.

To ja dostałam, chociaż miałam 14 lat, ale ona tak patrzyła ta siostra, kto na ile wygląda.

No więc ja tylko pamiętam, bo myśmy już na końcu, ostatni byliśmy już, te Śródmieście, ci co się jeszcze ściągali, że może zostaną, że może się uda w

tych ruinach tu poczekać, bo oni, bo mówili nam, że Rosjanie są już na Pradze, i że lada dzień

przejdą przez, i już będziemy... Tak, że do ostatniej chwili chcieli..., i niestety, nie przeszli,

nie doczekaliśmy się tego wyzwolenia. No i tak później... Dalej mówić na temat, jak przeszliśmy...?

Tam, załadowali nas w Pruszkowie [raczej w Ursusie] w pociągi zadrutowane i jechaliśmy też po ciemku, nie

wiadomo dokąd. Czy do obozu, czy do gazu, czy gdzie nas wiozą... I wysiedliśmy, to już

był dzień, i przeczytałam, że jest stacja Nowy Sącz i stamtąd z Nowego Sącza pogonili nas

do... Było miejsce po getcie, ale ani jednego Żyda już nie było,

wszystko już, nie wiem, co z nimi zrobili, tylko że ogrodzony teren, baraki w strasznym

stanie. No i tam nas..., nikt nie tłumaczył dokąd, po co i dlaczego tam siedzimy.

Ja sobie wyszłam w dzień, tak chodziłam, ogrodzone to było kolczastym drutem, nie

murem, tylko kolczastym drutem. Więc ja widziałam wszystko, co tam na tej ulicy się

dzieje i tak zazdrościłam tym ludziom, którzy sobie chodzą, rozmawiają, robią

zakupy, a my nie wiadomo, co z nami tam będzie w tym getcie. No i podeszło do tej

siatki, do tego do tego drutu, dwoje ludzi, jak się później okazało, małżeństwo, i pytają

się mnie, czy ja bym chciała stąd wyjść. Ja mówię, że tak, bardzo bym chciała. "A skąd

jesteś?". Ja mówię: "Z Warszawy" - "No to wiesz..." - "Ale ja nie jestem sama".

"A z kim?" - "Z ciotką". No to się zastanowili chwilę, pomyśleli: "Wiesz co,

no to ty jutro bądź tutaj, w tym miejscu, o tej samej porze, a my zobaczymy, może, może z

ciotką wyjdiesz". Ja przyleciałam do ciotki i jej mówię, bo ona tam w tym baraku siedziała

i się modliła. I mówię jej o tym właśnie, że tak...

I pilnowaliśmy tego, bo zegarka nie miałyśmy, tylko tak o tej porze... Ja wyszłam, już dużo

wcześniej stałam przy tych drutach, żeby nie przegapić. No i przyszli. Przyszli. Kazali mi

iść tam, do tego miejsca, gdzie jest wejście i wyjście, ta brama, stali tam - dwóch

wartowników niemieckich i bez niczego..., ciotka była też,

kazali nam wziąć ten swój tobołek i wyszliśmy za tę bramę, i oni nas zaprowadzili do

swego domu. Jak się okazało, to byli bardzo zamożni ludzie. Mieli piękny, piętrowy dom,

na górze mieszkali, na dole, mieli bardzo duży sklep z futrami i kożuchami. Handlowali tym.

No i dali nam pokój. Wszystko z nas, co było na nas, wszystko spalili. Dali nam wszystko,

czyste ubranie, w ogóle inne życie, normalny dom, jedzenie.

No i ten pan zapytał się ciotki mojej, czy by się zgodziła, żeby on mnie adoptował. No,

ciotka mówi, że niestety tego zrobić nie może, bo nie wie, czy moi rodzice żyją, bo

jeżeli rodzice żyją, to ona nie może mi tego zrobić. Ale on mówi: "Na pewno nie żyją". No,

ciotka mówi, wobec tego się umawiamy, że jak nie żyją, jak przeżyjemy tą wojnę i oni okażą

się..., że nie ma rodziców, to bardzo chętnie zgodzę się, żebyście państwo ją adoptowali.

No ale po tygodniu, czy po dwóch jakieś wieści doszły do nas, że Rosjanie są już na Pradze.

Ciotka mówi: "Wiesz, to może my stąd pojedziemy bliżej Warszawy i zatrzymamy się gdzieś w

jakimś miasteczku, że jak wejdą do Warszawy, żeby szybciej być, no bo tam przecież cały

dobytek życia został w tym domu, w piwnicy".

No i powiedziałam mu to.

Boże, co było... Oboje płakali strasznie. Także ja nawet nie wiedziałam, że mężczyźni mogą

tak lamentować, no strasznie.

Ale zrozumieli nas, że my przecież chcemy odzyskać troszkę coś, co jeśli tam jeszcze jest.

No i zgodzili się, przemyśleli i powiedzieli: "Dobrze, ale trzymamy pania za słowo,

jeżeli jej rodzice nie będą żyli, to ja chętnie ją wezmę. Będzie miała bardzo

dobrze warunki". A okazało się, że to małżeństwo było bezdzietne i taką dużą

dziewczynę chcieli mieć już. Duża byłam, no ale lata miałam. I w końcu pojechałyśmy z

ciotką. Odprowadzili nas na dworzec, wsadzili do pociągu do Krakowa, i w tym

pociągu bardzo dużo było warszawiaków.

Dosiadali się widocznie, rozwozili po tych okolicznych miejscowościach i rozmawiali, że

wysiadają w Miechowie, bo w Miechowie są bogaci gospodarze i chętnie przyjmują

warszawiaków, że będziemy przynajmniej mieli ten dach nad głową. No a to już dużo bliżej

niż Nowy Sącz. No i dobra. Jak wysiedliśmy w tym Miechowie, no ja poszłam do tego RGO, to

była Rada Główna Opiekuńcza się nazywała i...,

bo ciotka powiedziała, że żebrać nie będzie, że woli umrzeć, nie będzie się żebrać, ani

żeby ktoś ją przygarnął pod dach. Nie chciała. No to ja musiałam to załatwić. I w

związku z tym, jak ja im opowiedziałam historię, jak, jak to się stało, ona, ta

urzędniczka, a było ich dwie, zawołała jakiegoś, jakiegoś chłopca i mówi:  
"Weź ten...,"

nie samochód tylko tę bryczkę i weź ich obie i zawieź do Szwajcarii. Szwajcarii,  
co to za...,"

czy to nazwisko, czy to imię, czy... No i dobra, wsiadłyśmy na tę bryczkę  
i jedziemy, i ja mówię: "Boże! Gdzie on nas

wiezie?". Nic więcej nie powiedziała. No i zawiózł nas. Jak się okazało  
to był

najbogatszy gospodarz, w tym, w Miechowie. Na tej wsi Pstroszyce miał  
plantację tytoniu, miał

wędzarnię śliwek, wielki, ogromny sad, miał służącą. No to było wogóle...  
Tak, że mieliśmy tam,

uważałyśmy, że będziemy miały tam dobrze. Jak podwieźli nas pod ten dom,  
jak te babki tam

wyległy, jego żona, jego teściowa, jego jakaś tam jeszcze kuzynka, ze  
cztery te kobitki

wyszły. Jak zaczęły na nas psioczyć, że Pan Bóg nas skarał, że psom  
szynkę kupowaliśmy,

to bardzo dobrze, że tak nas Pan Bóg skarał, że teraz nie mam się gdzie  
podziać. No to

ciotka mówi: "Proszę panią...". Ale jeszcze tam dużo, dużo napyskowały, a  
myśmy stały jak te sieroty i

słuchamy. W końcu ciotka mówi: "Proszę panią, mnie tylko chodzi o  
przetrwanie zimy. Dajcie

nam tylko dach nad głową. My żadnego jedzenia nie chcemy, ja sobie kupię,  
mam pieniądze. A

po drugie jestem bardzo, bardzo dobrą krawcową, bo w Warszawie nie wiem,  
czy wam to

coś mówi, ale pracowałam u Herzego [?], a to były..., tam się ubierały  
tylko artystki i żony

dyplomatów i ministrów, bo to była strasznie droga pracownia.

No, chyba jeszcze droższa jak Minge". No i ciotka mówi: "Ja wam mogę coś  
poszyć przez ten

czas za to mieszkanie, a jedzenie sobie kupię". No jak oni to już  
usłyszeli, że nie...

"Tylko dajcie maszynę, bo maszyny nie mam, ale jak będziecie mieli  
maszynę to wam poszyję

co będziecie chciały". No to te babki troszkę zmiękły i przestały już  
pyskować no i

postarały się o tę maszynę i od razu... A jeszcze nas, zaprowadzili nas do, trudno to

nazwać pokój, coś,

coś takiego, co było jedno maciupęńkie okienko, wielki, taki ciężki stół, na tym stole była prasa, która wciskała sery. I ta serwatka, serwatka z tych serów na te

klepisko, a tu przynieśli nam snopek słomy do spania, na tym snopki słomy, i tu ta serwatka śmierdzi...

Coś koszmarnego co tam było.

Poza tym zimno i ciemno, bo tylko było malutkie okienko. No, no piwnica. Jak ciotka

powiedziała właśnie o tej maszynie i że będzie szyła, no to nas wtedy zabrali..., kazali nam zabrać te tłumoki

i dali nam porządny pokój, normalny już, gdzie był piec, gdzie było normalne okno, podłoga, no i

dwa łóżka były. Takie byle jakie, ale były. No i wtedy już żeśmy tam zostały i tak...

No ja posiedziałam tam z ciotką trochę, to już wtedy miałam wszystko. Pytał mi się, czy

lubię jajka, to czy lubię lane kluski, czy lubię jajecznicę. Robili mi wszystko i

przynosili nawet do tego, do tego naszego pomieszczenia. I byli bardzo mili.

Ale jak któregoś dnia mówię: "Wiesz ciociu, jak ja bym teraz pojechała sobie tam pod

Warszawę...", bo pociągi dochodziły tylko do Ursusa, do Warszawy nie dochodziły, "...więc jak

ja bym pojechała, może na tej trasie, może tam kogoś bym spotkała z Legionowa, może bym

się dowiedziała coś o rodzicach". A ciotka mówi: "No nie, w życiu cię nie puszcę, nie w

ogóle...", bo ona w ogóle nie umiała nic załatwiać. Była zastraszona, bała się. No i

ten jej mąż zabrany i bała się, że ją zabiorą, a ja może ją uratuję, bo będzie

dziecko, dziecko, wyglądałam na dziecko. No więc w każdym razie nie chciała...

Ja mówię: "Ciociu, ale jak ja nie..., daj mi tylko na bilet, jak ja zobaczę, że to nie ma szans,

to ja wrócę szybko następnym pociągiem i nie będę się tam nigdzie tego...". I poszłam, i pojechałam.

Dała mi. No i pociąg z Miechowa odchodził późnym wieczorem do Warszawy.

Ja bałam się, bo to było 3 km do Miechowa z tej wsi Pstroszyce, a w tych Pstroszycach, to była

wieś, która była trochę na górze, a w dole szedł pociąg i na tych, przy tych, w tych Pstroszycach

był dróżnik, który miał tamten semafor i nim tam regulował. Ja poszłam do tego dróżnika

i poprosiłam go, mówię: "Proszę pana, jakby mi pan zatrzymał ten pociąg, co będzie tam jechał tam z tego Miechowa o tej, o

tej porze, bo ja jestem z Warszawy, chciałam tam bliżej Warszawy". - "Czyś ty zwariowała?

Chcesz, żebym ja do obozu poszedł albo żeby mnie zabili? Przecież to Niemiec..., Niemcy

jadą, wojsko jedzie tym pociągiem", a ja mówię: "Ale to tylko na sekundkę, jak tylko stanie, a ja

szybko wskoczę i tego...". I on mówi tak: "I bez biletu pojedziesz jeszcze?". Ja mówię: "No to zapłacę

karę, bo mam pieniądze". No i dobra, namyślił się, namyślił się,

sumienie go ruszyło. Chyba jakaś zadziałała, no nie wiem, jakaś siła wyższa, i zatrzymał mi

ten pociąg na minutkę. Ja wskoczyłam, on mnie tam za kuperek trochę podsadził, bo te stopnie tego

wagonu, to ja ledwo rękami dosięgałam do tych stopni, i się wciągnęłam na te stopnie, żeby

tam jemu jak najmniej, jak najszybciej, żeby nie trzymał tego pociągu w polu.

No i pojechałam. Wsiadłam w Skierniewicach, wykombinowałam sobie Skierniewice najpierw,

bo mówię, ze Skierniewic to już będę miała dużo pociągów w stronę Warszawy, tam do

Ursusa, bo to już było życie normalne. No a ten dworzec w Skierniewicach to sobie wyobrażałam,

że te Skierniewice to jest jakieś duże miasto, to chociaż przenocuję na tym dworcu,



choć będzie jakaś restauracja czy jakiś bar, no żeby coś ciepłego się napiła czy

zjadła. No i tak było.

Wysiadłam w Skierniewicach i sobie patrzę jest "Nur für Deutsche" [Tylko dla Niemców]. No więc sobie weszłam

tam, trochę..., niemieckiego się uczyłam pięć lat, więc podstawowe jakieś takie zdania potrafiłam po

niemiecku powiedzieć bez..., jak na przykład, że poproszę szklanek herbaty, a jeszcze ona mi się pyta:

"Mit rum?", ja mówię: "Ja". No to ja nawet nie wiedziałam, co to jest rum w herbacie wtedy,

pierwsze słyszałam, ale powiedziałam: "Tak." no i sobie wypiliśmy herbatę z tym rumem. Coś

tam zjadłam. No i poszłam sobie na dworzec i zobaczyłam kiedy mam jakiś pociąg i dojechałam do...

A jeszcze w pociągu właśnie, starsza kobieta mnie zaczepiła, i pyta mi się, gdzie ja jadę.

Ja mówię, że tak właśnie w nieznane. Jadę, jeszcze nie wiem, czy wysiadę tu, czy tu, bo szukam kogoś.

A ona mówi: "Wiesz, ja szukam syna. Dowiedziałam się, że mój syn był w

transportie do Niemiec. Otworzyło paru mężczyzn, otworzyło tam pod semaforem ten wagon i

uciekli, gdzieś tu, w okolicy Piastowa". No to mówi, a ona była analfabeta, nie umiała

czytać: "Mogłabyś ze mną pochodzić, to byś mi przeczytała...", bo były kartki napisane na

słupach, na parkanach, wszędzie, że tam na przykład: "Kurzawińska Barbara z Legionowa

mieszka Grodzisk Mazowiecki, tam ulica taka i taka".

I te kartki czytałam i jej też czytałam. I w pewnym momencie, jak ja jej tak czytam, ona

się tak głośno wdarła na cały głos: "Leonardziuś, Leonardziuś".

Ja się oglądam, a ona wisi na szyi temu synowi, bo ten syn, właśnie w Piastowie

wyskoczyli z tego, z tego transportu, i tam u kogoś się zatrzymał, i tam sobie był cichutko,

i wyszedł na miasto po coś tam kupić. I on ją poznał, i ona go poznała, no to mnie zaraz zabrał

też, a on był szewcem, ten jej syn. No i buty...

Dwa dni tam byłam, u nich, buty mi zrobił, bo to zima przecież, a ja byłam w letnich

pantoflach jeździłam, w "koreczkach", no i w końcu mówię: "No nie, pani Chabrzycka, ja już muszę jechać do cioci,

bo, bo nie będę tu dłużej siedziała, bo chciała do końca, już do wyzwolenia trzymać

tam, w tym,

u siebie, tam w tym Piastowie. Taka była mi wdzięczna. No ale ja już nie chciałam.

Jeszcze przeczytałam nazwisko mojej koleżanki, z którą chodziłam do jednej klasy,

że też w Piastowie mieszka, podana ulica. Poszłam i pytam się jak ona z Legionowa się

dostała tu, czy coś wie o moich rodzicach?

Nic nie wiedziała. Jechali przez Nowy Dwór, przez Modlin, tam gdzieś Wisłę przekraczali,

w tych tych okolicach, i przez Bielany dostała się do Warszawy i też Powstanie.

przegapiłam tam, w Legionowie. Tylko że po tym, po wyzwoleniu, nie po wyzwoleniu, tylko

po wejściu tych Rosjan na Pragę, oni wszyscy się bali tych...

Nie wiem dlaczego bali się tego wojska. Strasznie ich straszili, szczególnie młode

dziewczyny, i ta moja..., matka tej koleżanki zabrała ich i tam jakoś, już nie znam tej trasy

jaka oni przebyli przez Wisłę i się dostali tam właśnie do tego...

Uważali, że tam bezpiecznie, do tego Piastowa, bo w Warszawie było jeszcze

Powstanie, więc tak na okrągło.

No a potem, jak wróciłam z powrotem, posiedziałam trochę i mówię: "Ciociu, ja

jeszcze muszę pojechać raz i mnie tak ciągnie tam ...", mówię: "... ja już teraz to na pewno rodziców

znajdę, już na pewno poszukam". Nie chciała, nie chciała ciotka, w końcu mnie pozwoliła.

No jak ta wieś, to wszyscy mężczyźni po każdym moim rejsie przychodzili do domu i

musiałam mi opowiadać. No i w końcu ciotka się zgodziła i czytam kartkę a sąsiedzi, nasi sąsiedzi, między innymi to byli sąsiedzi, którzy mieli sklep w

Legionowie i mama ciągle u nich kupowała. Patrzą państwo Ropelewscy są w Grodzisku.

No to ja już szczęśliwa mówię: "No jak tacy są blisko mamy i znali się dobrze, to coś wiedzą

o moich rodzicach. Pojechałam do nich w Grodzisku. No oni tam świetnie się mieli, bo

tam znajomi ich przygarnęli, w tym Grodzisku, i chcieli koniecznie, żebym została

już. Powiedzieli, że nic nie wiedzą o rodzicach, bo jak Rosjanie zbliżali się, to

całe Legionowo wysiedlali. Ale wysiedali,

Niemcy wywozili tu na wschód, bo to było blisko Modlina, a w Modlinie mieli tę twierdzę, tak

byli tam zainstalowali, że ciężko było ruskim się przedostać, pogonić ich stamtąd. No i w

końcu za którymś tam razem im się udało.

Także Legionowo przechodziło..., raz byli Rosjanie, raz byli Niemcy. Ojciec w

międzyczasie był ranny, bo poszedł do sąsiada się podzielić opłatkiem w Wigilię, i w jego

dom uderzył chyba pocisk, bo gdyby bomba, to by ich zabiło, ale chyba to pocisk. Oni się

obaj znaleźli pod stołem, bo siedzieli przy stole. No i ojciec, i ten pan, ten sąsiad,

oni jakimś cudem nie wysiedli ich, bo udali chorych, starych

już, i oni zostawili ich. I ojciec wiedział, że ten pan gada i też został,

to sobie do niego poszedł, żeby tym opłatkiem się podzielić w Wigilię. I tam był ranny. No i

wszystkich tych rannych z frontu, co zabierali, to do szpitala wojskowego,

zawieźli do Zielonki. Pod Warszawą jest taka miejscowość, i tam był szpital wojskowy. I mama

moja wysiedlono z Legionowa, ojciec został, żeby pilnować tego dobytku, a mama wysiedlona

do tej Zielonki. I sobie szła tam w Zielonce ulicą i jakaś kobieta mamę zaczepiła i mówi:

"Wie pani, że podobno pani mąż jest ranny i leży tu w szpitalu w Zielonce?". No mama

poleciała, gdzie oczywiście powiedziała i gdzie ten szpital jest. Mama pobiegła do tego

szpitala no i prosi tego lekarza, czy może zobaczyć, a on mówi: "No tam trupiarnia, do trupiarni,

tam wszyscy leżą". I mama tak odsłaniała te prześcieradła, bo byli przykryci, i tak

patrzy - ojciec.

Poznała ojca. Otwarte ma oczy i mruga, i nie mówi nic, tylko mruga. No więc mama w te pędy poleciała

do tego ordynatora ichniego i mówi, że: "Proszę pana, panie doktorze...", a mama bardzo dobrze

mówiła po rosyjsku, bo rosyjskie gimnazjum ukończyła. Mówi: "Przecież mój mąż żyje i leży

razem z trupami". A on mówi: "Musi pani się pogodzić z tym, bo jest wojna i my musimy

ratować młodych".

No jak mama to usłyszała: "To nie weźmiecie męża mojego na tą salę operacyjną?" - "Nie".

Poszła do domu. Miała tam pół litra spirytusu. Wiedziała, że to jest, że to tak

jak pieniądze. Przyszła do niego z tym spirytusem i go błaga, że ma tylko to, żeby

ojca wziął na oddział tam. No i to poskutkowało

oczywiście, zadziało. Wziął ten spirytus, ojca kazał wnieść od razu na salę. Miał pięć..., z

tego stołu, drzazgi mu powchodziły do mózgu, takie głębokie, ale żył. No i miał padaczkę później.

Zoperowali mu, to znaczy powyjmowali te, zrobili opatrunki, tam mieli antybiotyki

jakiś. I ojciec przeżył jeszcze 40 lat po tym powrocie do domu. No nie miał specjalnie...,

miał pół głowy, szczególnie pół głowy miał bardzo tego, a potem nawet nie wiem, bo

rzadko się zdarza, żeby wyleczyć padaczkę, bo jakiś czas miał, a potem wyleczyli, ale czym

to nie wiem. No nieważne. W każdym razie był już normalnie zdrowy, ale pracować już nie

mógł. Mama się bała, zapominał.

No miał takie zachwiania równowagi, tak że już do pracy nie poszedł. No i w dalszym

ciągu była bieda. No i tak, troje dzieci w domu. Jak wrócili z tego wysiedlenia, to w

naszym domu zrobili sobie taki sztab. W piwnicy rozstawiony był taki wielki stół na

24 osoby, rozsunięty, i na tym stole mieli mapy poprzypinane pinezkami.

No i tam... A w pokojach równo z parapetem nazwozili z tego lasu, powycinali drzewa, i te

pieńki, oczywiście nie okorowane, tylko tak z tą kora, z tym błotem przysypane piachem, że

jak uderzy pocisk, to żeby oni tam w tej piwnicy nie odczuli tak bardzo, bo to jednak

trochę hamuje taki, taki, taki sufit. I w całym domu takie mieliśmy...

Do takiego domu wróciliśmy po wojnie. Bez szyb, bez okien, piach, błoto, te, te, no,

pokradzione. To co mama wartościowszego zakopała w ogrodzie, beczki, ojciec, beczki po ogórkach,

po różnych tam rzeczach, pakował te lepsze rzeczy i owijał papą, i zakopywał.

Wszystko było wykopane, nic nie było. Nie wiem kto tam, czy to sąsiedzi, czy to wojsko.

W każdym razie nic nie... Zastaliśmy

pusto, bez... Jedliśmy z jednego garnka, i jedną łyżką po kolei. Tak było. I potem, po tej

wojnie właśnie, zaraz jak w 1947 czy 1948 roku, no musiałam iść do szkoły. Obraz nędzy i

rozpaczy, nie było co założyć, nie było za co kupić. Już się mama wypompowana ze swoich

tych zapasów, które miała, żadnej biżuterii i nic.

A jeszcze to, że siostrę przywiozłam, jak drugi raz w tych Skierniewicach, przeskoczyłam...

O tej pani właśnie - tego Leonardziusia mamie, a jeszcze siostrę znalazłam i siostra moja była

w tym akowskim szpitalu, bo tam bardzo było rozbudowane AK na terenie Legionowa, i tam

ją wzięli jako sanitariuszkę, i z tym szpitalem wyemigrowała z Legionowa, i była w

Grodzisku, mieszkała. I już mówi: "Wiesz co, ja tylko mam jedną sukienkę, bo wszystko

posprzedawałam: zegarek, łańcuszek z Bożą, kolczyki". Pierścionek mama jeszcze jej dała.

Już mówi: "Wszystko sprzedałam, już nie miałabym nawet za co jeść". I ja się trafiłam, ja ją

zabrałam do tych Pstroszyc, i już do końca wojny byłyśmy we trzy. Ale wyjeździłam, jeździłam

i wyjeździłam ją w końcu. Nie na próżno jeździłam.

No to ci chłopci na tej wsi, no Boże, jak oni, jak oni słuchali, to jak ja sobie przypomnę,

to mieli buzie pootwierane i nie wierzyli, że to jest możliwe, żeby taka smarkata, no bo

ja byłam mała, szczupła, chuda, no to przecież to takie takie nic i tyle takich

poważnych spraw załatwiłam. No i ta ciotka dzięki mnie to też... bo ona ani be, ani me

nie chciała się... Wolała umrzeć niż prosić o dach nad głową. No co za logika? No więc to było, to

było Powstanie. No a teraz po Powstaniu, oczywiście, przyjechaliśmy do Legionowa. Jak,

jak było 17 stycznia było wyzwolenie, a myśmy wyszły w lutym.

Na początku, nie wiem, tak koło 8, 10 luty, tak coś w tym czasie, po wyzwoleniu. No to żeśmy szły

pieszo dwa tygodnie z tego Miechowa do Warszawy, dwa tygodnie równe.

I nocowałyśmy tak: w stodole, na dworcu, w jakichś..., nie restauracja, takie bary były na

tych dworcach, no to w tych barach, na poczekalniach, o, różnie to tak było.

I tak dwa tygodnie żeśmy koczowały, i po dwóch tygodniach przyjechaliśmy, a tam w domu nic,

wszystko spalone, pełno gruzu.

Trzeba było, nie wiem, jakiś mieć przyrząd, żeby się tam do piwnicy dostać, czy tam coś ocalało. W każdym

razie poszliśmy pieszo po lodzie, po Wiśle, żeśmy przechodziły Wisłę po lodzie, ponieważ

most był pontonowy tylko dla wojska, tylko rosyjskie samoloty..., samochody tym mostem mogły

jeździć, no i wojsko, a my nie.

Tak że my cywile, musieliśmy... A tafla tego lodu na Wiśle to nie pękała jak myśmy szły, tylko

tak się bujało na tym. Ja bym dzisiaj nie wyszła w życiu na ten lód, żeby mi nawet nie

wiem co... Ja nie wiem, jak człowiek młody, to się tak..., nie dopuszcza jakichś najgorszych

rzeczy. No i żeśmy przeszły tą. Idziemy do Legionowa, idziemy na piechotę też. Ja już

szłam w skarpetkach, bo już nóg nie czułam. Parowało mi z nóg, a mróz był taki. Wtedy

była bardzo sroga zima. Lód miał szesnaście centymetrów grubości na Wiśle. Na

całej, bo żeśmy tak poszliśmy normalnie po Wiśle. Nie, tam nie krażyliśmy gdzie są łachy,

nie. Tylko żeby jak najszybciej. No i w końcu dotarliśmy.

Ale idziemy pieszo z Warszawy do Legionowa, jedzie furmanka. Pytamy się, czy w Legionowie

jakiś dom został, bo wiemy, że tam był front pół roku. No od Powstania był do do wyzwolenia.

Mówią: "Nie macie po co tam iść, tam jest kamień na kamieniu, lasu nie ma, wszystko

wycięte". Ja mówię, a na przystanku jest Legionowo, tak było i teraz też jest,

Legionowo i Legionowo Przystanek. Ja mówię, a na Przystanku wszystko spalone. No, ale ciotka

mówi: "Nie, jak już tu jesteśmy, to zobaczymy same". No i dom został tak strasznie zniszczony,

że no tak, tak się spało jak na dworzu, no bo okien nie było, szyb nie było, w piwnicy, a my

tylko z tymi tobołkami, wszystko rozkradzione. No i trzeba było już zacząć życie od nowa i

do tego jeszcze ojciec ranny, który nie mógł nic zrobić, chociażby chciał. No i na tym się

skończyła nasza tułaczka. Już w tym domu zostaliśmy tak, i tak stopniowo mama nas...,

ponieważ myśmy z siostrą, siostra była dwa lata ode mnie starsza, ale była taka rosła,

zbudowana, no ona i jej groziło..., obóz, czy tam jakieś...,

ale mnie, to nie. Mama nas się bała puścić gdziekolwiek, bo to wszystko towarzystwo z

tego, z tych okolic jeździło do Niemiec na szaber. To się nazywało na szaber, bo przez

Narew się przechodziło, i zaraz za Narwią była Rzesza. No więc i tam już ci Niemcy

pouciekali, też pozostawiali swój dobytek, i nasi ci Polacy niektórzy..., ale moja mama nawet

żebyśmy z głodu umarli, na żaden szaber nas nie puściła. Nawet sąsiedzi się obrazili na

mamę, że nas woli głodzić niż iść na szaber. Mama mówi: "Tak wolę głodzić, ale na szaber nie

pójda". Tam w stodołach się spało. Poniewierali ludzi, nie, także żeśmy to ominęły.

To dzięki mamie, tak, że walczyłyśmy o głodzie, ale bez, żeby się nie, nie narazić.

No to to było chyba..., to był nasz powrót już z tej rajzy, którą..., to się teraz tak szybko

opowiada, ale to było wszystko przeżyć, ten każdy dzień. Nie było żadnej radości, nawet

jednego, ani chwili, żeby się pocieszyć. Nic. No i tak to, to chyba na tym zakończymy?

Speaker2: Miałbym kilka pytań do tego, o czym pani już opowiadała.

No słucham?

Speaker2: Powiedziała pani, że jak, jak stała się ta historia,

Speaker2: że pani ukryła tego, to dziecko, tego chłopca żydowskiego, tego Adasia, że zdawała sobie



Speaker2: pani sprawę z ryzyka, bo już były przypadki, kiedy całe rodziny poniosły konsekwencje

Speaker2: ukrywania. Czy jakieś konkretne przykłady pani pamięta z Legionowa?

Tak, w tym domu, w którym właśnie, mówiłam, mieszkali Niemcy, znaczy Niemcy, ja nie wiem,

czy oni, Niemcy, mieli nazwisko niemieckie, pisało się Sommer, no to myślę, że to

Niemiec, z tym, że oni się nie przyznawali. Oni mieli mieszkanie w Warszawie na Nowym

Świecie, a tu w Legionowie mieli taki domek letniskowy i oni się z nikim nie przyjaźnili.

Nikt do nich..., ja tylko ze względu na te dwie dziewczynki, bo to była rodzina. Dwie

dziewczynki jedna w moim wieku, druga troszkę starsza, to tak, to tam z tymi dziewczynkami się...

przychodziły do mnie czy ja do nich. No ale tego pana, jak wojna wybuchła, tego pana

Sommerera to nikt nie widział w Legionowie, tylko ta matka z tymi dziećmi. I tam ona, ona

przygarnęła, pewnie z Niemiec, z Warszawy, z getta jakąś Żydówkę. Nikt też o tym nie

wiedział. I ta Żydówka tam mieszkała, w tym w tym domu. No i ktoś, ktoś doniósł, bo pewnego

dnia przyjechali Niemcy takim odkrytym samochodem z karabinem.

Weszli do tego domu, wyprowadzili ją przed okna i zastrzelili, i zostawili, i pojechali.

Ja przyjechałam ze szkoły, mama mi opowiada to że to się stało, czy ja coś nie wiem,

bo ja tam chodziłam. Ja mówię: "Skąd? Ani pani Zommerowej i nie widziałam już dawno", bo ona się nie

pokazywała od tego czasu pewnie, jak tę Żydówkę tam umieściła, to się... No nie wiem,

może ktoś się nią opiekował. Ktoś jej tam dostarczał, ale tego to już nie wiemy. W

każdym razie mama mówi, że zostawili i nie chodź tam, broń Boże nie chodź tam, bo może

obserwują, kto będzie ją tam chował czy zakopywał, żeby coś tam tego...

Tak, że ja nic nie wiem, nie, nie byłam. Zresztą nie miałam po co, bo te dziewczynki

były w Warszawie. Także tak się skończyło.

A kto pochował tę Żydówkę? Ja teraz..., tam mieszka pani, ja jej się kiedyś pytałam, czy jej...?

Ktoś jej powiedział, że tu w tym miejscu... Ona mówi: "Tak, wiem o tym. Ja mówię: "A nie pytała

się pani, czy to ciało, kto..., czy tu jest w dalszym ciągu na działce gdzieś czy...?" - Ona mówi: "Nie chcę

wiedzieć, bo nie wiem. Nie pytam się, bo wolę nie wiedzieć" - o, tak mi powiedziała. Także

nie wiem też, czy ta Żydówka tam spoczywa w tym, pod tym oknem, czy była jakaś ekshumacja? No nie

wiem tego.

Speaker2: Mówiła pani na początku, jeszcze przed nagraniem, że dużo pani miała szczęścia.

Speaker2: Mówiła pani o jednym epizodzie z Powstania Warszawskiego.

No to właśnie w tych gruzach, w tych gruzach. I drugie miałam, drugie miałam, poszłam..., powiedzieli, że

na stacji benzynowej na Złotej jest taka pompa, taka, co się wodę pompuje z ziemi, nie

ma nic wspólnego z elektrycznością, i że tam można sobie wody wziąć. I ja wzięłam sobie

taki kubek po marmoladzie, bo takie 5 kg kubki były marmolady. Ciotka mi dała ten

kubek no i poszłam i tam była kolejka do tej wody duża. I ja se stanęłam w tej

kolejce, postawiłam se ten kubek i stałam. No a to z Żelaznej Niemcy mieli bardzo dobry

widok na to, na tę kolejkę i puścili serię z karabinu maszynowego po nas i mnie przedziurawiło

ten kubek, że już tej wody bym nie doniosła, bo to tak mniej więcej na środku

kulka przedziurawiła.

No i przyszedłam z pustym kubkiem do domu i więcej nie poszłam, i ciotka mówi: "Już nigdy

nie, nie chodź nigdzie, bo oni rzeczywiście biorą...". A kilka osób wpadło tam, jak to było i

tak z Żelaznej przy Chłodnej gdzieś mieli tam tą swoją obserwację, a ta stacja była na

Złotej. Tak to miałam ten drugi taki incydent, z tym, że żeby nie ten kubełek, to

by mnie po nogach może trafiło. Potem w piwnicy, kiedy uderzyła bomba w ten nasz dom

i tak nas ten gruz przyłożył, że czekaliśmy,

myśleliśmy, że się podusimy, aż powstańcy otworzyli, odsunęli ten gruz i z tych okienek

nas powyciągali. I ta kobieta, ten impet wywalił drzwi do piwnicy, bardzo zresztą

takie żelazne, ciężkie, i jej tak tu przecięła, nie wiem, blacha czy coś, szyję.

I ona na mnie się położyła i mnie cała krwią zalała. I tak, że to był drugi, kiedy wyszłam, bo

przecież równie dobrze ja mogłam tu w tym miejscu usiąść, ale ona chciała przy

drzwiach. Nie wiem, może chciała, żeby bliżej uciekać w razie czego. No nie wiem, ale to

był taki drugi moment, no a tak no było tych takich ucieczek, patrzenia na te... A tu w

Warszawie jeszcze miałam taki jeden moment, taką..., wysiedliśmy z pociągu, to był

1940..., przed Powstaniem, czyli też to była wiosna, powiedzmy, w 1944 roku.

W sierpniu było Powstanie, a to gdzieś na wiosnę było, marzec, kwiecień, bo już było

ciepło. Wsiadamy z pociągu, dużo ludzi, bo do pracy, do szkoły, i podjeżdża buda.

Buda to był taki samochód niemiecki z plandeką czarna, tylko ta szoferki, no taka,

taka ciężarówka. I wyskakują mężczyźni z zawiniętymi czarnymi opaskami oczami,

czarne mieli takie jakieś na tych...Wyskakują, ustawiają ich wzdłuż na Dworcu Gdańskim, jaki

jest na górze tramwaj, taki jest nasyp, a dołem idą tramwaje, prawda, na Pragę.

To pod tym tunelem, pod tym nasypem. Mówiłam to synowi, a syn mówi: "Ja wiem, gdzie to jest,

bo tam jest tablica upamiętniająca to miejsce" - mówi. Ja to czytałem tę tablicę, ileś tam tych

cywilów, właśnie, politycznych, działaczy jakiejś organizacji, AK czy AL,

nie wiem jakiej tam. W każdym razie oni, to byli więźniowie przywiezieni z Pawiaka czy skądś,

bo tam jest napisane, ale ja nigdy nie chodzę, bo jak ja sobie to przypomnę, jak ci

żołnierze, jak ci strzelali, ustawiali te karabiny maszynowe na takich trójnogach, na nich,

i oni wtedy zaśpiewali: "Jeszcze Polska nie zginęła..." Myśmy nie wiedzieli, co robić, czy

uciekać z powrotem na stację i jechać do domu, czy tego, czy oni za chwilę nie wejdą

na dworzec i znowu sobie nie wybiorą tam kogoś. No to jak ja to w ogóle opowiadam,

to tak jakby to było wczoraj, jakbym to wczoraj widziała tę egzekucję właśnie. I ten

płacz, znaczy nie płacz, ale taki ten okrzyk to... Wszyscy zresztą posztywnieli, którzy tam byli.

Ale tak to miałam o tyle szczęście, że byłam mała i nie..., w tych łapanki różnych, które

były nie, nie uczestniczyłam, bo nawet na mnie nie spojrzeli, tylko łapali duże dziewczyny

czy chłopaków. Tak, koledzy moich, którzy byli tacy dobrze zbudowani, też trafiali do

obozu. Ale, ale...

Mnie się to dlatego udawało, że może to dobrze, że byłam mała. No a moja siostra, żeby

ocalić ją ojciec wybrał..., to nie szambo,

ale to był taki krąg w ogrodzie, taki od studni,

to był śmietnik. Wybrał to wszystko, wybielił to wapnem, na tego, nałożył tam siana, i to było

nakryte jakiś, tam stały, jakieś zielone w doniczkach, jakieś zielone rośliny. Jak tylko

dali cynk, że Niemcy już są, że jeżdżą po ulicach, to moja siostra do tego włąziła i tam

ocalała w tym, w tym, jeszcze jej koleżanka, która też taka była w moim wieku.

Ojciec też ją zaprosił do tego, mówi: "Będzie wam rażniej we dwie". I siedziały tam, jak się

uspokoilo, bo te łapanki robili, robili często, przyjeżdżali z domów, wyciągali. To

przeżywaliśmy. Mnie wtedy nie było, bo ja wtedy akurat byłam w Warszawie, na tym Powstaniu, to

ja się nie chowałam, ale siostra moja tak.

I to chyba by było wszystko.

Speaker2: Czy ja dobrze zrozumiałem, że koleżanka z pracy w ministerstwie najprawdopodobniej wyszła za

Speaker2: tego uratowanego przez panią i matkę chłopaka.

Tak, tak, bo ona powiedziała - "mąż"- "Wyszłam za mąż za Żyda" - tak mi powiedziała.

Speaker2: Z kontekstu, z opisu sytuacji wychodziło, że to jest ta sama historia, że to jest pani historia. Tak.

Tak mi pasowało. Tak, bo ona miała ten mniej więcej ten..., mówiła, że pod Warszawą, mąż był w

getcie pod Warszawą, no więc mógł być w innym też, to ja się nic nie odzywałam, ale jak

jeszcze powiedział "dziewczynka", i jak "ktoś ją tam wyprowadził za Bug na wieś",

no to już byłam pewna, że to musi być on.

Speaker2: No i imię padło pani.

No i Adaś, tak.

Speaker2: No i pani imię padło, że też, że też Basia, Basia miała na imię ta dziewczynka...

To on jej powiedział ten, ten mąż, powiedział, że to była Basia pewnie, bo się pytali o

Basię. Ale może to był, ona była z tym swoim mężem, i on może to..., bo mama mówi, że była

mężczyzną. No mówi, przystojny facet, mówi, taki... No i tak.

Speaker2: Czy o okresie powojennym

Speaker2: coś pani by chciała jeszcze nam opowiedzieć, czy raczej ograniczamy się do tej historii wojennej?

Nie, już nie miałam żadnych tych przygód takich, nie, poza tym jednym spotkaniem i to...

I ja z nią też blisko..., nie mogłam nic o niej więcej..., bo to był jeden przypadkowy traf,

że siedziałyśmy tak, bo coś tam robiłyśmy

i musiałyśmy pobyc trochę dłużej i zaczęłyśmy sobie gadać tak o sobie, no i ona to właśnie

powiedziała. I potem ja w ogóle jej nie spotykałam. A potem poszłam na emeryturę,

bardzo wcześnie zresztą, miałam 50 lat, jak poszłam na emeryturę, byłam po poważnej

operacji, a że pragmatyka mi pozwalała, to skorzystałam z tego i wyszłam na emeryturę.

Speaker2: Natomiast to nie jedyny zbieg okoliczności, bo pani opowiadała, że z Miechowa, spod

Speaker2: Miechowa wracałyście panie dwa tygodnie piechotą do Warszawy.

Speaker2: Dokładnie ten szlak zaliczyła moja babcia z moją mamą. Też? Też były wywiezione pod

Speaker2: Miechów, wracały, wracały prawie ,że piechotą do Warszawy,

Speaker2: natomiast weszły do Warszawy nie w lutym, tylko jeszcze w styczniu.

No tak, bo...

Speaker2: Ruskim, ruskim na plecach, jeszcze w styczniu weszły.

No tak, no więc tak, jak myśmy usiłowały wejść, to: "nielzja, nielzja" [ros. nie wolno]i nas zganiałi z tych pociągów

jak pociąg stał, to myśmy prosiły, żebyśmy może miały spirytus albo jakąś inną łapówkę, to

może by nam pozwolili podjechać, ale tak to "nielzja" i koniec. I chciałyśmy na stopniach,

żeby pojechać. Też nie. Nie w środku.

Speaker2: I też przechodziły, podobnie jak panie po zamrożonej

Wiśle. No więc tak? No widzi pan, to nic nie kłamię? Zgadza się.

Speaker2: Tak, że tutaj też się wątki spięły. Serdecznie pani dziękujemy.

Speaker4: Przepraszam, czy można coś? Bo Basia jest bardzo skromna,

Speaker4: moja siostra, i nie powiedziała o jednym wątku, mianowicie o swoim heroizmie. Proszę

Speaker4: państwa, Basiu chciałbym, żebyś przypomniała pierwszy raz, kiedy on się do ciebie zgłosił.

Speaker4: To znaczy kiedy spotkałaś tego młodego Żyda, następnie po tygodniu żeś go odwiozła.

Speaker4: No i teraz powiedz, jak przeszłaś tę drogę?

Tak...

Speaker4: Bo ja mogę powiedzieć, że odtworzyłem całą drogę, jak siostra odprowadziła go do tego

Speaker4: getta. Tak. Od jej domu do getta, wszystkie siostra przypomniała sobie ulice...

Tak, o tym zapomniałem, jakoś nie uważałam, że to ważne.

Speaker4: Tak...

Speaker4: To jest jeden z najciekawszych i naj... momentów.

To był to, to był heroizm rzeczywiście. Jemu się już ta nóżka zagoiła i mama mówi tak:

"Wiesz, weź taczki, weź go, może będzie za daleko iść pieszo.

jeszcze z tą nogą, weź taczki, weź go na taczki". A ja mówię tak: "Z ogródka trochę mu

dam, bo w ogródku się tam hodowało, parę pomidorów, parę jabłek, jakiś kalafior, no

takie coś właśnie, parę ziemniaczków. No i tego uzbierało się w tej taczce sporo jak na moje

siły. I ja wzięłam go i mówię tak: "Jedziemy z tym wszystkim do domu", bo byłam pewna, że on

ma rodzinę, nie pytałam go się, ale wiedziałam, że może ma matkę, ojca, że tam to...,

a on to chętnie wziął. No i dojechałam do ak...,

to było po drugiej stronie toru,

myśmy mieszkali po tej stronie, a trzeba było iść przez tory. I tak po torach chodziły

bahnschutze [niem. straż ochrony kolei], bo ci akowcy rozkręcali, więc oni na tych torach mieli takie dyżury i krążyli.

Więc mama mówi: "Pamiętaj, oni, jak będzie szarówka..., no, dziecko jak wiozą, to nawet

jakby wiozła to, że się bawia dzieci, nie? Wiezie go sobie na taczkach,  
no. Jakby nawet szedł,

to by chyba nam nic nie zrobił, no bo, no bo dziecko? Przecież nie, nie  
miał napisane..., a nie był

podobny do Żyda. Nie no, no, ta ta kobiecina... Mama też się jej nie  
przyznała, że to Żyd. Może

później wyszło na jaw, ale w każdym razie nie było po nim widać. No ale  
też dojechałam

do tych torów i tak - "usiądź, bratowa i płacz". No co zrobię? Z taczkami  
nie podjadę, a ten

tor był tak, a my tak. Więc jak podjadę ten nasyp, bo tor był na takim  
nasypie. No to

mówię: "Wiesz co Adaś...", wzięłam go na barana, przeniosłam go przez te  
tory, posadziłam go

za tymi torami, a z tymi taczkami po tych szynach się tam telepałam.  
Tyłem

szłam, ciągnęłam te taczki tak w górę, bo tak to bym nie..., bo była  
miękką ziemia. Wjechałam

na ten..., po drugiej stronie torów włożyłam jego, a jeszcze zdjęłam te  
zakupy

też, nie zakupy, tylko te tobołki wzięłam, przeniosłam na drugą stronę i  
tam załadowałam

jego, te tobołki i jechałam tam do tego getta nie po asfalcie, tylko to  
był piach. Udeptana

co prawda ścieżka przez ludzi, ale, ale pod ciężarem to to kółko mi się  
ciągle tam

wpadało w te, w te miękkie poszycie. No niesamowicie. Ja tam przybyłam.  
Myślałam, że

już nie dojadę do tego getta z nim, i on mnie pokazywał jak, bo ja tam w  
życiu nie byłam i nie

znałam drogi, tylko on mi mówił gdzie mam skręcić, gdzie mam jechać  
prosto, całą drogę,

bo on chodził na te żebry, często wychodził z tego getta. No i tak  
dowozilałam go do takiej...,

to getto było ogrodzone drutami, ale widocznie jedna ściana była z cegły  
czerwonej, bo tam gdzie on mnie doprowadził to była dziura zrobiona w tej  
cegle, wybite te

cegły, i on to wszedł tą dziurą, a ja mu podawałam te, te, i tak, i dalej



nie wiem co on, gdzie on to, to poszedł z tymi, i ja mówię: "Zawołaj rodziców", bo on

jeszcze tą nogę nie miał tak dobrze zagojoną, mówię: "Zawołaj, to ci pomoga". Tak, dobrze. Nie,

nie protestował, że nie mam rodziców czy coś, nie. No i w każdym razie... To był, to był też

epizod, rzeczywiście. Wiesz, ja to zapomniałam, ale, ale jak... A moja mama, ile

pacierzy przez ten czas zmówiła i czekała na mnie i nie wiedziała, czy mnie złapali na

tych torach i czy coś się nie stało? No i szczęśliwie wróciłam do domu. No ale

przeżyłam też to, nie powiem. Długo myślałam o nim, a on był..., przychodził, tak jak ja go raz

zawiozłam tymi taczkami, że dwa tygodnie... No może przesadzam, troszkę wcześniej. Ja

wieczorem wychodzę, bo taką latrynę mieliśmy w ogrodzie. Ja przychodzę do tej

latryny, a on wychodzi z malin gęstych i mówi: "Daj mi coś zjeść, bo mi się chce jeść". Ja mówię:

"Znowu przyszedłeś, znowu chcesz tą nogę pokaleczyć na bosaka?". No i teraz muszę wejść

do domu i jakimś cudem mu wynieść, żeby znowu nikt nie widział. A wszyscy siedzą w kuchni

przeważnie, bo to światła się oszczędzało w czasie okupacji, więc wszyscy się skupiali

przy tym. I ja w końcu weszłam do domu: "Co ty będziesz jadła, a ja zjem troszkę coś".

Wzięłam pajdę chleba taką, że daj Boże zdrowie i poszłam sobie do pokoju jeść. No i

za chwilę wyszłam, że niby już zjadłam. No i nie pilnowali mnie tak, że ja się nie mogłam

wymknąć, i wyszłam, i powiedziałam: "Stój tu za studnią, bo za studnią cię nie będzie widać",

taka była studnia obudowana. No i on stał za tą studnią. Wyniosłam mu pajdę chleba i to

było tak... Aż potem właśnie,

potem, potem po raz trzeci powiedziałam: "Adaś, tak nie możesz chodzić, bo wiesz, wiesz, ludzie

patrzą, widzą, wiesz co się dzieje?". On mówi: "Wiem". Ja mówię: "No to właśnie...". Ale byłam

pewna, że on ma rodziców. Dlaczego on był sam?

No, takie dziecko samo było? Ja też nie byłam ciekawska ani wścibska, bo powinnam go

przesłuchać, wypytać go, czy masz mamę, siostrę czy brata, czy coś. Nie pytałam się

jego, bo ja się bałam, w ogóle bałam się tego, bo wiedziałam, bo zdawałam sobie sprawę

z konsekwencji, jakie będą w razie nas przyłapią. Wiedziałam, że już po nas i to po

wszystkich, bo to cała rodzina od razu.